

**Abraham Merritt**

**Lud z Otchłani**

*Przełożyła Ewa Komorowska*

Na północ od nas wystrzelił w górę ku zenitowi snop światła. Wydobywał się zza pięciu szczytów. Jego promienie pięły się ku górze przez słup niebieskawej mgły, której brzegi były równie ostro widoczne, jak deszcz padający ze skraju burzowej chmury. Przypominał światło latarki w błękitnej mgle. Nie rzucał żadnego cienia.

Kiedy wystrzelił ku górze, czarne szczyty wyraźnie się zarysowały i spostrzegłem, że cała góra ma kształt dłoni. W miarę jak światło wykreślało jej zarys, gigantyczne palce wyprostowały się, jakby dłoń chciała coś chwycić czy też wepchnąć z powrotem. Świecący snop na chwilę znieruchomiał, po czym rozpadł się na tysiące małych, świecących kul, które delikatnie zachwiały się, a następnie opadły, jakby czegoś szukając.

Las zamarł. Wszystkie jego odgłosy ucichły. Poczulem, że psy przytulają się do moich nóg. One również zamilkły, ale każdy mięsień ich ciała drżał, włosy zjeżyły się na grzbiecie, a oczy, utkwione w opadających światełkach, zaszklily się przerażeniem.

Spojrzałem na Andersona. Skierował wzrok na północ, tam gdzie snop ponownie strzelił ku górze.

– To nie może być zorza – powiedziałem nie poruszając ustami. Były tak suche, jakby Lao T'zai wsypał mi do gardła pył strachu.

– Jeśli to zorza, to nigdy takiej nie widziałem – odparł podobnym tonem Anderson. – A poza tym kto słyszał, żeby zorza występowała o tej porze roku?

Głośno powiedział to, co mnie samemu tłukło się po głowie.

– Zaczynam podejrzewać, że odbywa się tam teraz jakieś polowanie – rzekł – diabelskie polowanie; całe szczęście, że znajdujemy się poza jego zasięgiem.

– Za każdym razem, kiedy snop światła strzela w górę, mam wrażenie, że góra się porusza – rzekłem. – Co się za tym kryje, Starr? Przypomina mi to zmarznątą dłoń z obłoków, którą Shan Nadour umieścił przed Bramą Wampirów, by utrzymać je w norach wykopanych dla nich przez Eblisa.

Podniósł dłoń, nasłuchując.

Z północy i sponad naszych głów dotarł szmer. Nie przypominał owego szeleszczenia zorzy, tego gnającego, trzaskającego dźwięku wydawanego przez duchy wiatrów dmących w chwili Stworzenia i mknących przez szkielety liści prastarych drzew, które dały schronienie Lilith. Był to szept zawierający w sobie rozkaz. Wołał nas, byśmy udali się tam, skąd dobywał się snop światła. Przyciągał. Brzmiała w nim nuta bezwzględного naglenia. Dotknął mojego serca tysiącem maleńkich, unurzanych w strachu palców i wypełnił głębokim pragnieniem puszczenia się pędem ku niemu i stopienia w jedno z owym światłem. Tak musiał się czuć Ulisses, kiedy uwiązany do masztu, rwał się, by usłyszeć kryształowego, czarownego śpiewu syren.

Szept stał się głośniejszy.

– Co się, do diabła, dzieje z tymi psami? – zawołał Anderson z wściekłością. – Spójrz tylko

na nie!

Malamuty pognały skowycząc ku światłu. Widzieliśmy, jak znikają wśród drzew. Dotarło do nas żalosne wycie. Potem i ono ucichło, i zostało tylko nalegające szemranie w powietrzu.

Polana, na której rozbiliśmy obóz, wychodziła prosto na północ. Sądzę, że dotarliśmy jakieś trzysta mil za pierwszy zakręt Koskokwimu w kierunku Jukonu. Z pewnością znajdowaliśmy się na dziewiczym odludziu. Parliśmy na północ z miasteczka Dawson, u zakola rzeki Spring, posuwając się prosto szlakiem do zagubionych pięciu szczytów, między którymi, jak nam powiedział znachor z plemienia Atapasków, złoto wypływa jak kit spomiędzy palców zaciśniętej pięści. Nie zdołaliśmy znaleźć żadnego Indianina, który zgodziłby się nam towarzyszyć. Twierdzili, że ziemia Dłoniastej Góry jest przeklęta. Dostrzegliśmy szczyty poprzedniej nocy, delikatnie zarysowane na tle pulsującej poświaty. Teraz zaś widzieliśmy światło, które nas do nich przywiodło.

Anderson zeszywniał. Przez szmer przebijał lekki stukot i szeleszczenie, jakby zbliżał się do nas mały niedźwiedź. Dorzuciłem kilka polan do ogniska, a kiedy ogień stał się większy, dojrzałem coś wychylającego się zza krzaków. Szło na czworakach, ale zupełnie nie było podobne do niedźwiedzia. Nagle doznałem olśnienia – przypominało dziecko wdrapujące się po schodach. Przednie łapy uniosło w groteskowo infantylny sposób. Było to groteskowe, ale też straszne. Stworzenie zbliżyło się. Sięgnęliśmy po broń – i odrzuciliśmy ją. Nagle zdaliśmy sobie sprawę, że tym czołgającym się czymś jest człowiek!

Był to faktycznie człowiek. Niepewnie doczołgał się do ogniska, nadal wysoko unosząc kończyny jak przy wspinaczce i uderzając nimi. Zatrzymał się.

– Bezpiecznie – wyszeptał głosem, który był odbiciem szmeru, unoszącego się nad naszymi głowami. – Tu jest całkiem bezpiecznie. Nie mogą wydostać się poza obręb niebieskiego. Nie mogą was osiągnąć... chyba, że pójdziecie do nich...

Przewrócił się na bok. Podbiegliśmy do niego. Anderson ukląkł.

– Na miłość boską, Frank! – wykrzyknął. – Popatrz tylko!

Wskazał na ręce przybyłego. Przeguby pokryte były poszarpanymi łachmanami jakiejś grubej koszuli. Same dłonie były kikutami! Zwinęły się w pięści, a ciało zostało zdarte aż do kości. Wyglądały jak nogi małego, czarnego słonia! Powiodłem oczami w dół ciała. Wokół bioder znajdował się ciężki pas z złotego metalu. Od niego odchodziło kółko i kilkanaście ogniw białego, lśniącego łańcucha!

– Kim on jest? I skąd się tu wziął? – zapytał Anderson. – Patrz, śpi jak zabity i nawet we śnie ramiona starają się gdzieś wdrapać, a stopy podążać jedna z drugą! Jego kolana... jak, na miłość boską, zdołał się na nich w ogóle poruszać?

Było dokładnie tak, jak mówił Anderson. Mimo głębokiego snu, w jaki zapadł ten człowiek, jego ręce i nogi nadal poruszały się straszliwym, rozmyślnym, wspinającym się ruchem.

Wyglądało to tak, jakby żyły własnym życiem – nadal wykonywały te ruchy niezależnie od znieruchomiłego ciała. Były to ruchy semafora. Jeśli kiedykolwiek staliście z tyłu pociągu i obserwowaliście, jak ramiona semafora unoszą się i opadają, to wiecie, o czym mówię.

Nagle zalegające w powietrzu szemranie ucichło. Snop światła opadł i nie wystrzelił już więcej. Leżący człowiek znieruchomiał. Wokół nas rozchodziło się delikatne światło. Nastął świt i właśnie kończyła się krótka alaskańska noc. Anderson przetarł oczy i zwrócił ku mnie wychudłą twarz.

– Człowieku! – zawołał. – Wyglądasz, jakbyś przeszedł ciężką chorobę!

– Ty też, Starr – powiedziałem. – Rozumiesz coś z tego?

– Myślę, że tu znajduje się odpowiedź – rzekł wskazując na postać nieruchomo leżącą pod kocami, którymi ją nakryliśmy. – Czymkolwiek było to światło, to przed nim właśnie uciekał. To nie była żadna zorza, Frank. Bardziej przypominało rozpalanie się jakiegoś dziwnego piekła, o którym nie uprzedziło nas to plemię atapaskańskich kaznodziejów.

– Dziś nie pójdziemy już dalej – rzekłem. – Nie obudzę go za cenę całego złota płynącego między palcami pięciu szczytów, ani ze względu na żadne moce piekielne, które się za tym kryją.

Mężczyzna pogrążony był we śnie tak głębokim, jak Styks. Obmyliśmy i obandażowaliśmy kikuty, które kiedyś były jego dłońmi. Ręce i nogi miał sztywne jak szczudła. Nie ruszył się nawet, kiedy go opatrywaliśmy. Leżał tak, jak upadł, z lekko uniesionymi ramionami i zgiętymi kolanami.

– Dlaczego się czołgał? – szepnął Anderson. – Dlaczego nie szedł?

Piłowałem obręcz wokół pasa. Była ze złota, ale z takim złotem nigdy nie miałem do czynienia. Czyste złoto jest miękkie. To również było miękkie, ale zdawało się pulsować jakimś nieczystym, własnym życiem. Przywierało do pilnika. Rozciąłem je, odgiąłem od ciała i odrzuciłem daleko. Było obrzydliwe!

Spał przez cały dzień. Nadeszła noc, a on dalej spał. Tej nocy nie było żadnego snopu światła, ani poszukujących kul, żadnego szemrania. Zdawało się, że został zdjęty z tej ziemi jakiś straszliwy czar. Było południe, kiedy człowiek się obudził. Podskoczyłem, usłyszawszy miły, śpiewny głos.

– Jak długo spałem? – zapytał. Jego bladoniebieskie oczy stały się jakieś dziwaczne, kiedy wpatrywałem się w niego.

– Całą noc... i prawie dwa dni – odrzekłem.

– Czy zeszłej nocy widział pan jakieś światło? – z ożywieniem wskazał ku północy. – Były jakieś szmery?

– Ani jedno, ani drugie – odpowiedziałem. Głowa mu opadła do tyłu i popatrzył prosto w niebo.

– Czyżby zatem dali spokój? – powiedział w końcu.

– Kto dał spokój? – spytał Anderson.

– No, jak to, Lud z Otchłani – cicho odparł człowiek.

Wytrzeszczyliśmy na niego oczy.

– Lud z Otchłani – powtórzył. – Coś, co Diabeł stworzył jeszcze przed potopem i co w jakiś sposób umknęło zemsty Boga. Nie groziło wam z ich strony żadne niebezpieczeństwo... chyba żebyście odpowiedzieli na ich zew. Nie mogą dotrzeć nigdzie dalej niż niebieska mgła. Byłem ich więźniem – powiedział po prostu. – Usiłowali szeptaniem przywołać mnie z powrotem do siebie!

Anderson i ja spojrzeliśmy po sobie, myśląc to samo.

– Mylicie się – powiedział. – Nie zwariowałem. Dajcie mi się tylko trochę napić. Niedługo umrę, ale chcę, żebyście mnie zabrali możliwie daleko na południe, zanim to nastąpi, a potem zróbcie wielkie ognisko i spalcie mnie. Chcę przybrać taką postać, żeby żaden piekielny czar tego ludu nie był w stanie wciągnąć tam z powrotem mego ciała. Zrobicie to, jak wam o nich opowiem... – zawahał się. – Zdaje mi się, że zdjęto ze mnie łańcuch? – zapytał.

– Odciąłem go – odparłem krótko.

– Dzięki Bogu i za to – wyszeptał.

Wypił wódkę z wodą, którą podaliśmy mu do ust.

– Ręce i nogi są martwe – rzekł. – Równie martwe, jak ja sam już niedługo będę. Cóż, dobrze się sprawiły. Teraz powiem wam, co jest tam, za dłonią. Piekło!

Posłuchajcie. Nazywam się Stanton, Sinclair Stanton. Rocznik 1900 uniwersytetu w Yale. Podróżnik. W zeszłym roku wyruszyłem z Dawson w poszukiwaniu pięciu szczytów wznoszących się jak dłoń w nawiedzonym kraju, pomiędzy którymi płynie czyste złoto. Szukacie tego samego? Tak myślałem. Późną jesienią zeszłego roku mój współtowarzysz zachorował. Odesłałem go z powrotem z kilkoma Indianami. Niedługo później pozostali uciekli ode mnie. Postanowiłem wytrwać. Zbudowałem szałas, zaopatrzyłem się w żywność i osiadłem, żeby przeczekać zimę. Wiosną ruszyłem dalej. Po upływie niespełna dwóch tygodni dostrzegłem pięć szczytów. Ale nie od tej strony, ze strony przeciwnej. Dajcie mi jeszcze trochę wódki.

Zrobiłem za duże koło – ciągnął. – Poszedłem za daleko na Północ. Od tej strony nie widzi się niczego poza lasem, dochodzącym do samego podnóża Dłoniastej Góry. Tam, z drugiej strony...

Zamilkł na chwilę.

– Tam jest również las. Ale nie dochodzi tak daleko. O nie! Wyszedłem z niego. Przede mną, na wiele mil, rozciągała się płaska równina. Wyglądała na tak starą i zniszczoną, jak pustynia wokół ruin Babilonu. Na jej krańcu wznosiły się szczyty. Między mną a nimi, w dużej odległości, stało coś przypominającego niską zaporę ze skał. Następnie natknąłem się na drogę!

– Na drogę! – zawołał niedowierzająco Anderson.

– Tak jest – powiedział człowiek – na kamienną, doskonale równą drogę, tak wydeptaną, jakby setki milionów stóp przemierzało ją od tysiącleci. Po obu stronach znajdował się piach i góry kamieni. Zauważyłem te kamienie po jakimś czasie. Były poprzecinane, a kształt tych gór kamieni w jakiś sposób naprowadził mnie na myśl, że setki lat temu mogły być domami. Wyczułem w nich działanie człowieka; a jednocześnie jednak było w nich coś prastarego. Cóż...

Szczyty przybliżyły się. Sterty ruin zagęściły. Sprawiały wrażenie niezwykle opuszczonych. Biło od nich coś, co uderzyło moje serce jak dotknięcie duchów tak starych, że mogły być tylko duchami domów. Szedłem jednak naprzód.

Zobaczyłem następnie, że to, co uważałem za niski grzbiet u stóp szczytów, było tylko jeszcze szerszym pasmem ruin. Dłoniasta Góra znajdowała się naprawdę dużo dalej. Droga przechodziła między dwiema wysokimi skałami, które stały jak brama.

Człowiek przerwał na chwilę.

– Była to faktycznie brama – powiedział. – Doszedłem do niej. Wszedłem w nią. I wtedy upadłem i kurczowo chwyciłem się ziemi w panicznym przerażeniu! Znajdowałem się na szerokim kamiennym występie. Przedemną zaś była – czysta przestrzeń! Wyobraźcie sobie Wielki Kanion, tylko pięć razy szerszy i od którego odpadło dno. Oto, do czego zaglądałem. Jakbym patrzył poza krawędź rozplatanego świata, w głąb nieskończoności, gdzie krążą planety! Na odległym końcu stało owych pięć szczytów, niby wielka, ostrzegawcza dłoń, wyciągnięta prosto w niebo. Brzeg czeluści zakręcał po obu moich stronach.

Widziałem na odległość może tysiąca stóp – dalej wszystko zakrywała gęsta niebieska mgła. Przypominała ową niebieskość, widzianą o zmierzchu, gromadzącą się na szczytach wzgórz. A sama rozpadlina – była przerażająca; przerażająca jak maoryjska Zatoka Ranalak, która rozdziela świat żywych i umarłych, i przez którą zdolna jest przeskoczyć tylko świeżo wyzwolona dusza, ale nie ma już nigdy siły przejść jej z powrotem.

Odczołgałem się od krawędzi i stanąłem, osłabiony. Rękę oparłem na jednym ze słupów owej bramy. Znajdowały się na niej jakieś rzeźby. Wyraźnymi jeszcze, ostrymi konturami zarysowana była postać bohaterskiego człowieka, odwróconego plecami. Ramiona miał wyciągnięte, na głowie zaś dziwne, spiczaste przybranie. Spojrzałem na sąsiednią skałę. Znajdowała się na niej dokładnie taka sama postać. Słupy te były trójkątne, a rzeźby znajdowały się na boku odwróconym od rozpadliny. Postacie zdawały się coś ukrywać. Przyjrzałem się bliżej. Wydawało mi się, że za wyciągniętymi ramionami dostrzegam inne kształty.

Widziałem je niewyraźnie. Nagle poczułem się dziwnie słabo. Miałem wrażenie, że są to wielkie, wyprostowane ślimaki. Ich nabrzmiałe ciała zostały ledwie zarysowane, z wyjątkiem głów, które wyraźnie przypominały kule. Były niewyobrażalnie obrzydliwe. Ponownie zwróciłem się ku pustce, wyciągnąłem na półce i zajrzałem.

W dół rozpadliny prowadziły schody!

– Schody! – zawołaliśmy.

– Tak jest – odparł człowiek, równie spokojnie, jak poprzednio. Wyglądały nie tyle na wykute w skale, ile na wbudowane w nią. Płyty miały około sześciu stóp długości i trzech szerokości. Schodziły w dół i nikły w niebieskiej mgle.

– Kto mógł skonstruować podobne schody? – spytałem. – Schody wbudowane w ścianę przepaści i prowadzące w dół bezdennej rozpadliny?

– Wcale nie bezdennej – powiedział cicho człowiek. – Miała ona swoje dno. Dotarłem do niego!

– Dotarłeś do niego? – powtórzyliśmy za nim.

– Tak, schodami – odrzekł człowiek. – Widzicie, zszedłem nimi w dół!

Tak, tak – powiedział. – Poszedłem w dół schodami. Ale nie tego dnia. Rozbiłem obóz z tyłu za bramą. O świcie załadowałem plecak jedzeniem, napełniłem bukłaki wodą ze źródła bijącego przy bramie, przeszedłem między rzeźbionymi monolitami i przekroczyłem brzeg rozpadliny.

Stopnie biegły wzdłuż brzegu skały pod kątem czterdziestu stopni. Przyglądałem się im, schodząc w dół. Wykonane były z zielonkawej skały, zupełnie innej niż granitowy porfir tworzący ścianę przepaści. Początkowo myślałem, że budowniczy wykorzystali wystającą warstwę i w niej wycięli gigantyczne schody. Ale regularność kąta nachylenia stopni postawiła moją teorię pod znakiem zapytania.

Kiedy przeszedłem już może pół mili, dotarłem do występu. Od niego schody ostro zakręcały i dalej biegły w dół, przywierając do skały pod tym samym kątem, co poprzednio. Tworzyły zygzak i kiedy przebyłem już trzy takie zakręty, wiedziałem, że opadają w dół szeregiem. Żadne warstwy nie mogły występować z taką regularnością. Nie, nie, schody zostały wybudowane sztucznie. Ale czyimi rękoma? Odpowiedź znajduje się w tych ruinach, otaczających rozpadlinę, ale jak sądzę, nie zostanie ona nigdy odkryta.

Około południa straciłem z oczu pięć szczytów i brzeg rozpadliny. Poniżej mnie i nade mną znajdowała się tylko niebieska mgła. Koło mnie też była pustka, bo dalszy występ skalny już dawno zniknął. Nie czułem zawrotów głowy, a wszelkie ślady strachu przyćmiła ogromna ciekawość. Co mnie czekało? Jakaś starożytna i wspaniała cywilizacja, która panowała za czasów, kiedy bieguny były ogrodami tropikalnymi? Byłem przekonany, że nic żywego, bowiem wszystko wokół było za stare, by nadal żyć. Wiedziałem jednak, że tak wspaniałe schody muszą prowadzić ku czemuś równie wspaniałemu. Co to było? Dalej szedłem w dół.

W regularnych odstępach mijałem otwory małych jaskiń. Po przejściu dwóch tysięcy stopni był otwór, następne dwa tysiące i kolejny otwór, i tak dalej i dalej. Późnym popołudniem zatrzymałem się przed jednym z takich otworów. Przypuszczam, że zszedłem wówczas jakieś trzy mile w dół, chociaż kąt nachylenia był taki, że w sumie przebyłem dziesięć. Zbadałem

wejście. Z każdej jego strony wyrzeźbione były postacie z portalu na górze, tylko teraz stały zwrócone twarzami, z ramionami rozpostartymi, jakby chciały coś powstrzymać przed wydostaniem się z głębin. Twarze miały zasłonięte, za nimi zaś nie było żadnych odrażających stworów. Wszedłem do środka. Szczelina biegła w głąb jak nora na jakieś dwadzieścia jardów. Była sucha i doskonale oświetlona. Widziałem niebieską mgłę, wznoszącą się do góry jak kolumna, o wyraźnie zarysowanych brzegach. Miałem poczucie niezwyklego bezpieczeństwa, choć przedtem nie odczuwałem jakiegokolwiek strachu. Przypuszczałem, że postacie na przedzie są wartownikami, ale czego?

Niebieska mgła zgęstniała i stała się lekko świecąca. Pomyślałem, że na zewnątrz musi zapadać zmrok. Trochę zjadłem, napiłem się i zasnąłem. Kiedy się obudziłem, niebieskość na zewnątrz znowu pojaśniała, więc domyśliłem się, że w górze musiał nastać świt. Poszedłem naprzód. Zapomniałem o rozwierającej się obok rozpadlinie. Nie czułem zmęczenia i mimo że niewiele zjadłem, prawie nie czułem głodu czy pragnienia. Tę noc spędziłem w innej jaskini, a o świcie znowu podjąłem wędrówkę w dół.

Było już późno, kiedy tego dnia po raz pierwszy zobaczyłem miasto...

Przez chwilę milczał.

– Miasto – rzekł w końcu. – Jest tam miasto. Ale nigdy takiego nie widzieliście, ani żaden inny człowiek nie mógł o nim opowiedzieć. Sądzę, że rozpadlina przypomina kształtem butelkę, a otwór przed pięcioma szczytami jest szyjką... Nie wiem, jaką szerokość ma dno – może tysiące mil. Zacząłem dostrzegać delikatne błyski światła daleko w dole. Potem zobaczyłem wierzchołki... chyba drzew. Ale nie takich jak nasze drzewa nieprzyjemnych, węzowatych drzew. Wyrastały na wysokich, cienkich pniach, a korony składały się z gęstwiny wici z małymi liśćmi, przypominającymi ostrza strzał. Drzewa miały kolor czerwony, żywy, gniewny czerwony kolor. Gdzieś dostrzegałem plamy lśniącej żółci. Wiedziałem, że to woda, bo dojrzałem, jak rozstępowała się ich powierzchnia, czy też przynajmniej dostrzegałem jej rozprysk i zafalowanie, ale nigdy nie widziałem, co je powodowało.

Wprost pode mną znajdowało się – miasto. Spoglądałem na całe mile ciasno ustawionych cylindrów. Leżały po bokach, w piramidach składających się z trzech, pięciu, kilkunastu, ułożonych jeden na drugim. Trudno jest opowiedzieć, jak to miasto wygląda. No, przypuśćmy, że mamy rury wodociągowe określonej długości i najpierw układamy obok siebie trzy, na nich dwie, a jeszcze wyżej jedną; albo też weźmy pięć jako podstawę, na nich cztery, potem trzy, dwie i na koniec jedną. Rozumiecie teraz? Tak wyglądały. Ale na samym szczycie widniały wieże, minarety, wyrzuszenia, skrzydła i powykręcane okropności. Połyskiwały, jakby pokryto je różnymi płomieniami. Obok nich wznosiły się jadowite, czerwone drzewa, jak łby hydry pilnującej gigantycznych gniazd pokrytych klejnotami uspiionych robaków!

Kilka stóp pode mną schody przechodziły w tytaniczny łuk, równie nieziemski, jak przeszło



łączące Piekło i prowadzące do Asgardu. Przeszło to wyginało się i schodziło w dół wprost przez wierzch najwyższego stosu rzeźbionych cylindrów i niknęło w nich. Było przerażające... i diabelskie...

Człowiek przerwał swoją opowieść. Wywrócił oczy. Drżał cały, a ręce i nogi ponownie rozpoczęły swój potworny czołgający ruch. Z jego ust dobywał się szept. Był echem owego szemrania w powietrzu, które usłyszeliśmy tej nocy, kiedy do nas przyszedł. Położyłem mu ręce na oczach. Uspokoił się.

– Przekłęte stwory! – rzekł. – Lud z Otchłani! Szeptalem? Tak... ale nie mogą mnie już teraz dostać, nie mogą!

Po pewnym czasie podjął opowieść głosem równie cichym, co uprzednio.

– Przeszedłem przez przeszło. Dostałem się przez wierzch tego... budynku. Niebieska ciemność otoczyła mnie przez chwilę i poczułem, że schody zwijają się spiralnie. Skręciłem w dół i wtedy... stanąłem wysoko w... nie potrafię powiedzieć wam nawet w czym, muszę to nazwać pokojem. Nie mamy żadnych obrazów dla oddania tego, co znajduje się w rozpadlinie. Jakieś sto stóp pode mną znajdowała się podłoga. Ściany opadały w dół z miejsca, w którym się znajdowałem, ciągiem rozszerzających się półksiężyców. Pomieszczenie było olbrzymie... i wypełnione dziwnym cętkowanym blaskiem – niczym światło wewnątrz zielono i złoto nakrapianego ognistego opalu. Zszedłem na najniższy stopień. Daleko przede mną wznosił się wysoki, otoczony kolumnami ołtarz. Jego słupy były rzeźbione w potworne sploty, jak oszalałe ośmiornice o tysiącach pijanych macek; spoczywały na plecach bezkształtnych potworów wyciętych w purpurowym kamieniu. Przód ołtarza stanowiła gigantyczna purpurowa płyta, pokryta rzeźbami.

Nie potrafię opisać tych rzeźb! Żaden człowiek nie byłby w stanie tego zrobić, oko ludzkie nie może ich pojąć, jak nie jest w stanie ogarnąć kształtów, które zamieszkują czwarty wymiar. Tylko jakiś wyczulony zmysł, ukryty gdzieś w głębi mózgu, angliście je wyczuwał. Były to bezkształtne przedmioty, nie dające żadnego świadomego obrazu, a jednak wciskające się w umysł, jak małe gorące pieczęcie... odczucie nienawiści... potyczek stoczonych pomiędzy niewyobrażalnie potwornymi istotami... zwycięstw w mgławicowym piekle pary, w obscenicznych dżunglach... aspiracje i ideały bezgranicznie odrażające...

Kiedy tak stałem, zdałem sobie sprawę, że coś leży za krawędzią ołtarza, jakieś pięćdziesiąt stóp nade mną. Wiedziałem, że tam jest... czułem to każdym włosem i najmniejszą komórką skóry. Coś nieskończenie zjadliwego, nieskończenie strasznego i nieskończenie sędziwego. Czyhało, zamyślało coś, groziło i było... niewidzialne!

Za mną znajdował się krąg niebieskiego światła. Pobiegłem ku niemu. Coś popychało mnie, bym odwrócił się, wdrapał na schody i uciekł. Było to jednak niemożliwe. Obrzydzenie dla tego czegoś pchało mnie naprzód jak silny prąd rzeki. Przeszedłem przez krąg. Znalazłem się na

zewnątrz, na ulicy ciągnącej się w mglistą dal pomiędzy rzędami wydrążonych cylindrów.

Gdziekolwiek wznosiły się drzewa; między nimi zaś znajdowały się kamienne nory. Teraz dopiero mogłem dostrzec zadziwiające ozdoby, które je pokrywały. Wyglądało to, jakby pokryte gładką korą drzewa zwaliły się i zostały porośnięte wysoko pnącymi się chorobliwymi orchideami. Takie były te cylindry, a nawet gorsze. Powinny były zniknąć wraz z dinozaurami. Były – monstualne. Stanowiły prawdziwy cios dla oglądającego je oka i cięły nerwy jak ostrze. Nigdzie nie było znaku ani dźwięku czegoś żyjącego.

W cylindrach znajdowały się okrągłe otwory, jak krąg w Świątyni Schodów. Przeszedłem przez jeden z nich i znalazłem się w długim, pustym, sklepionym pokoju, którego koliste boki na wprost zamykały się nad moją głową na wysokości dwudziestu stóp, pozostawiając szeroką szparę otwierającą się ku następnej sklepionej komnacie. W pokoju nie było absolutnie niczego poza owym nakrapianym, czerwonym światłem, które widziałem już w Świątyni. Potknąłem się. Nadal niczego nie widziałem, ale na podłodze znajdowało się coś, o co się potknąłem. Sięgnąłem więc ręką, dotknąłem czegoś poruszającego się, zimnego i gładkiego; odwróciłem się i wybiegłem z tego miejsca – przepelniała mnie odraza, mająca w sobie coś z szaleństwa. Wciąż biegłem naprzód załamując ręce i płacząc z przerażenia.

Kiedy doszedłem do siebie, nadal znajdowałem się wśród kamiennych cylindrów i czerwonych drzew. Starłem się odnaleźć drogę, którą uciekałem, znaleźć Świątynię. Powiedzieć, że się bałem, to stanowczo za mało. Czuję się jak nagle wyzwolona dusza, ogarnięta paniką na widok pierwszych potworności piekła. Nie potrafiłem odnaleźć Świątyni! Wtedy mgła zaczęła gęstnieć, a cylindry świecić jaśniej. Wiedziałem, że tam na górze zapada zmierzch, i czułem, że wraz z jego zapadnięciem nadchodzi czas zagrożenia, że gęstnienie mgły stanowi sygnał dla budzenia się tego czegoś, co żyje w rozpadlinie.

Wdrapałem się po bokach jednej z nor i ukryłem za powyginanym, koszmarnym kamieniem. Pomyślałem, że mam może szansę pozostania w ukryciu do chwili, kiedy niebieskość stanie się mniej intensywna, a niebezpieczeństwo przeminie. Wokół mnie narastał szmer. Był wszędzie, potężniał, aż w końcu przekształcił się w donośny szept. Zerknąłem ukradkiem w dół, na ulicę. Widziałem mijające mnie światła. Coraz więcej światła. Wypływały z okrągłych wejść i zapelniały ulicę. Najwyższe znajdowały się na wysokości ośmiu stóp nad ziemią, najniższe – może dwóch. Spieszyły się, przechadzały wolnym krokiem, kłaniały, zatrzymywały i szeptały – a pod nimi nie było nic!

– Nic pod nimi! – wyszeptał Anderson.

– Zupełnie nic – ciągnął dalej człowiek. – To było najgorsze: nie było pod światłami nic. A jednak z pewnością światła te były żywymi istotami. Miały świadomość, wolę, myślały... nie wiedziałem co jeszcze. Największe miały dwie stopy szerokości. W ich środku było jasne jądro – czerwone, niebieskie, zielone. Jądro to rozplýwało się stopniowo w mglistą poświatę, która nie

kończyła się nagle. Zdawała się przechodzić w nicość, ale pod tą nicością tkwiło coś konkretnego. Wypatrywałem oczy, usiłując zrozumieć owo ciało, w które zlewały się światła i którego obecność można było jedynie czuć, ale nie zobaczyć.

Zesztywniałem nagle. Coś zimnego, cienkiego jak bat, dotknęło mojej twarzy. Odwróciłem głowę. Zaraz za mną znajdowały się trzy takie światła. Były bladoniebieskie. Patrzyły na mnie, jeśli potraficie sobie wyobrazić światła, które są oczami. Inny bicz chwycił mnie za ramię. Pod najbliższym światłem odezwał się przenikliwy szept. Wrzasnąłem przerażony. Natychmiast szmer na ulicy ustał. Oderwałem z trudem oczy od bladoniebieskiej kuli, która je przytrzymywała i wyjrzałem: światła na ulicy wznosiły się tysiącami ku poziomowi, na którym się znajdowałem! Zatrzymywały się na mojej wysokości i wpatrywały we mnie. Tłoczyły się i przepychały, jakby były tłumem ciekawskich osób – na Broadwayu. Poczułem dotyk kilkunastu batów...

Kiedy doszedłem do siebie, znajdowałem się ponownie w Miejscu Schodów; leżałem u stóp ołtarza. Panowała zupełna cisza. Nie było żadnych świateł, tylko nakrapiany czerwony poblask. Skoczyłem na równe nogi i pobiegłem ku schodom. Coś rzuciło mnie z powrotem na kolana. Zobaczyłem wtedy, że wokół pasa przymocowano mi żółtą, metalową obręcz. Zwisiał z niej łańcuch i prowadził w górę, ponad krawędź występu. Byłem przykuty do ołtarza!

Sięgnąłem do kieszeni po nóż, żeby przeciąć obręcz. Noża nie było! Pozbawiono mnie wszystkiego, z wyjątkiem jednego z bukłaków, który miałem zawieszony na szyi i który widocznie uznano za część mojego ciała. Usiłowałem przełamać obręcz. Wydawała się żywa. Skręcała się w moich dłoniach i zaciskała się coraz ciaśniej wokół mnie. Pociągnąłem za łańcuch. Był przytwierdzony na stałe. Do mojej świadomości dotarła obecność tego niewidzialnego Czegoś nad ołtarzem. Padłem u stóp ołtarza i zapłakałem. Pomyślcie tylko – samotny w takim miejscu o dziwnym świetle, a nade mną wisi ów starodawny Strach – Coś potwornego. Coś niemożliwego do wyobrażenia – niewidoczny Stwór, emanujący przerażeniem...

Po chwili opanowałem się. Zobaczyłem wtedy stojącą obok jednego ze słupów żółtą miszkę, wypełnioną gęstą białą cieczą. Wypiłem to. Nie obchodziło mnie, czy napój jest zabójczy, czy nie. Jednak smak okazał się przyjemny, a kiedy piłem, zaczęły mi szybko wracać siły. Najwidoczniej nie zamierzano mnie zgłodzić. Światła, czymkolwiek były, orientowały się, co jest człowiekowi potrzebne.

Czerwonawy nakrapiany kolor zaczął wtedy przybierać na intensywności. Na zewnątrz pomruk narastał, a przez koło stanowiące otwór napływały kule. Ustawiały się szeregami, aż wypełniły Świątynię. Ich szept przeszedł w zaśpiew, rytmiczny, szemrzący, monotonny śpiew, wznoszący się i opadający, a kule unosiły się i opadały zgodnie z jego rytmem.

Światła przybywały i odchodziły przez całą tę noc, i przez całą noc słyhać było śpiew

wtórujący ich opadaniu i unoszeniu się. W końcu poczułem się jakby jedynie atomem świadomości w morzu rytmicznego szeptania; atomem, który unosi się i opada wraz z pochylającymi się kulami. Powiadam wam, nawet moje serce biło zgodnie z ich rytmem! Czerwona poświata zbladła, światła wychodziły jedno za drugim, szept ucichł. Znowu byłem sam i wiedziałem, że w moim świecie nastął dzień.

Zasnąłem. Kiedy się obudziłem, znalazłem biały płyn koło słupa. Przyjrzałem się uważnie łańcuchowi przykuwającemu mnie do ołtarza. Zacząłem pocierać o siebie dwa ogniwa. Robiłem to przez wiele godzin. Kiedy czerwień zaczęła gęstnieć, w ogniwach wytarta była rysa. Nabrałem nadziei; istniała zatem szansa ucieczki.

Wraz z gęstnieniem czerwieni powróciły światła. Przez całą noc rozlegało się szepczące śpiewanie, a kule unosiły się i opadały. Śpiew porwał mnie. Pulsował we mnie, aż każdy nerw i mięsień wibrował zgodnie z jego rytmem. Zaczęły mi drżeć wargi. Walczyły jak człowiek usiłujący krzyknąć, kiedy przyśni mu się jakiś koszmar. W końcu one też szeptały zaśpiew ludu z otchłani. Moje ciało kłaniało się zgodnym rytmem razem ze światłami. W ruchach i dźwiękach zjednoczyłem się z nienazwanymi rzeczami, podczas gdy moja dusza zapadała się, cała chora z przerażenia i bezsilna. Kiedy tak szeptałem – ujrzałem ich!

– Ujrzałeś światła? – spytałem głupio.

– Zobaczyłem to Coś pod światłami – odrzekł. – Wielkie, przezroczyste, ślimakowate ciała, z kilkudziesięciu wypustkami sterczącymi na zewnątrz, wokół rozdziawionych gąb pod świetlistymi, widzącymi kulami. Przypominały duchy niezwykle monstualnych ślimaków! Były przezroczyste. Kiedy patrzyłem na nie, nadal kłaniając się i szepcząc, nastął świt i wtedy ruszyły ku wyjściu i zaczęły opuszczać Świątynię. Nie pełzły ani nie szły. Uniosły się! Uniosły i opuściły pomieszczenie.

Nie zasnąłem. Przez cały ten dzień pracowałem nad łańcuchem. Z nadejściem zagęszczenia czerwieni przetarłem już jedną szóstą jego szerokości. Przez całą tę noc szeptałem i pochylałem się wraz z Ludem z Otchłani przyłączając się do monotonnego śpiewu na cześć tego Czegoś, co zawisło nade mną!

Jeszcze dwukrotnie czerwień zagęściła się i porwał mnie monotonny śpiew – a rankiem piątego dnia przetarłem ogniwa łańcucha. Byłem wolny!

Napiłem się z owej miski białego płynu i nalałem to, co zostało, do bukłaka. Pobiegłem ku Schodom. Pognałem w górę, minąłem owo niewidoczne Przeważenie za występem ołtarza i znalazłem się na Moście. Pognałem przez przesło i w górę Schodów.

Czy możecie sobie wyobrazić, co znaczy wspinać się prosto w górę poza brzeg rozszczępionego świata, zostawiając za sobą piekło? Gnało mnie przeważenie. Kiedy zorientowałem się, że nie mogę już dłużej piąć się ku górze, miasto dawno zniknęło w niebieskiej mgle. Serce waliło mi jak młotem. Upadłem przed jedną z małych jaskiń, czując,

że znajdę tu schronienie. Wpełzłem do niej głęboko i czekałem, aż mgła się zageści. Stało się to prawie natychmiast. Z dołu dobiegł mnie potężny, gniewny pomruk. U wejścia do jaskini ujrzałem, jak światło pnie się do góry przez mgłę; potem zniknęło i w miarę jak rozpraszało się, ujrzałem tysiące kul, które są oczami Ludu z Otchłani, opuszczających się w dół, do rozpadliny. Światło pulsowało wielokrotnie i kule opadały. Polowano na mnie. Szept stał się głośniejszy, bardziej nalegający.

Poczułem narastające we mnie pragnienie przyłączenia się do tego szeptania, jak to robiłem w Świątyni. Przygryzałem sobie coraz mocniej wargi, żeby je uspokoić. Przez całą noc snop światła wystrzeliwał w górę rozpadliny. Kule przesuwały się, a wokół rozlegał się szept. Teraz dopiero poznałem cel, jaki przyświecał powstaniu jaskini i wyrzeźbionych postaci, które nadal miały moc strzeżenia ich. Cóż to jednak był za lud, który je wykonał? Dlaczego wybudował swoje miasto wokół obrzeża i dlaczego stworzył w rozpadlinie Schody? Kim był dla Istnień żyjących na dole i w jaki sposób Istnienia te były mu na tyle użyteczne, że zdecydował się mieszkać obok nich? Z pewnością musiał istnieć jakiś powód. Inaczej równie niezwykle przedsięwzięcie, jak Schody, nie zostałyby zrealizowane. Jaki był jednak ten powód? I dlaczego tak się stało, że ci, którzy zamieszkiwali nad otchłanią, wymarli w minionych wiekach, a jej mieszkańcy nadal żyli? Nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi, podobnie jak nie znajduję jej i teraz. Nie mam nawet cienia teorii na ten temat.

Kiedy się tak zastanawiałem, nadeszła wraz ze świtem cisza. Wypiłem to, co mi w bukłaku zostało, wyczołgałem się z pieczary i zacząłem ponowną wspinaczkę. Tego popołudnia zawiodły mnie nogi. Porwałem więc koszulę, zrobiłem z niej podkładki pod kolana i ochraniacze na ręce. Czółgałem się w górę. Piąłem się wyżej i wyżej. Ponownie wpełzłem do jednej z pieczar i poczekałem, aż niebieskość się zageści, wystrzelił snop światła i rozlegnie się szept.

Było jednak coś nowego w tym szepcie. Już dłużej nie groził. Teraz dla odmiany wzywał i uwodził. Pociągał. Ogarnęło mnie nowe przerażenie. Poczułem ogromne pragnienie opuszczenia pieczary i wyjścia tam, gdzie kołysały się światła; pragnienie, żeby pozwolić im zrobić ze mną, co zechcą, zanieść, gdzie chcą. Pragnienie to narastało. Nabierało nowej siły za każdym razem, kiedy wystrzeliwał w górę snop światła, aż w końcu drżałem z pragnienia, by im się poddać, podobnie jak drżałem podczas śpiewu w Świątyni. Moje ciało przekształciło się w coś na kształt wahadła. Snop światła piął się w górę, a ja rwałem ku niemu. Tylko dusza była spokojna. Trzymała mnie mocno na dnie pieczary. Przez całą tę noc walczyła z moim ciałem, przeciwstawiając się czarowi Ludu z Otchłani.

Nastał świt. Raz jeszcze wypełzłem z pieczary i stanąłem przed schodami. Nie mogłem wstać. Poranione ręce krwawiły, a w kolanach czułem potworny ból. Zmusiłem się do wspinania stopień po stopniu... Po jakimś czasie straciłem czucie w rękach, ból w kolanach ustał. Obumarły. Stopień za stopniem siłą woli wciągałem ciało pod górę.

A potem – koszmar wspinania się po nieskończonej ilości stopni, wspomnienie tępego przerażenia, kiedy schowany byłem w pieczarach, a światło na zewnątrz pulsowało i przywoływały mnie szepty – wspomnienie tego razu, kiedy obudziłem się i zauważyłem, że ciało usłuchało wezwania i już w połowie przeniosło mnie między strażnikami pieczary na zewnątrz, podczas gdy tysiące połyskujących kul tkwiło w niebieskiej mgle obserwując mnie. Krótkie wspomnienia ciężkich walk ze snem i zawsze, ale zawsze pięcie się w górę, coraz wyżej i wyżej, wzdłuż nieskończone długich schodów, prowadzących z Zatracenia ku Rajowi błękitnego nieba i otwartego świata!

W końcu zaś świadomość otwartego nieba i krawędzi rozpadliny przede mną – wspomnienie przejścia przez wielki portal rozpadliny i stałego oddalania się od niej – snów o narodzie olbrzymów z dziwnymi spiczastymi koronami na głowach i zasłoniętych twarzach, pchających mnie naprzód, i wstrzymujących sztuczne ognie kul światła, które próbowały wciągnąć mnie z powrotem do głębi, gdzie planety przepływały między gałęziami czerwonych drzew, które zamiast koron miały węże.

A potem bardzo długi sen – jak długi, Bóg jeden raczy wiedzieć w szparze między skałami; przebudzenie po to tylko, by zobaczyć daleko na północy strzelający nadal w górę i opadający snop światła, wciąż polujące na mnie kule i ciągle wzywający szept, rozlegający się wysoko nade mną.

Znowu czołganie się na martwych rękach i nogach, które się poruszały, poruszały, bez mojej woli, jak statek Sędziwego Marynarza, oddalając mnie jednak z tego nawiedzonego miejsca. A potem wasze ognisko i to bezpieczeństwo!

Człowiek uśmiechał się do nas przez chwilę. Potem życie szybko przybladło na jego twarzy. Spał.

Tegoż popołudnia zwinęliśmy obozowisko i niosąc go ruszyliśmy z powrotem na południe. Nieśliśmy go przez trzy dni, a on cały czas spał... Trzeciego dnia, wciąż we śnie, umarł. Ułożyliśmy wielką stertę drzewa i spaliliśmy jego ciało, tak jak sobie życzył. Rozsypaliśmy jego prochy po całym lesie wraz z popiołem po spaleniu drzew, które strawiły jego zwłoki. Wielka musiałaby być potęga czarów, które zdołałyby rozdzielić jego prochy i przyciągnąć z powrotem jedną pędzącą chmurą ku przepaści, którą nazwał Przeklętą. Nie sądzą, Żeby nawet Lud z Otchłani miał taką moc. Chyba jednak nie.

Ale nie wróciliśmy do pięciu szczytów, by się o tym naocznie przekonać.